

Od autora: wspomnienie

(wspomnienie)

Dni w czerwcu i na początku lipca były upalne, ale tym razem uszczknąłem trochę czasu z rozpoczętych wakacji na rzecz krótkiej powtórki przed egzaminami wstępnymi. Matematykę mogłem odpuścić, byłem już zwolniony z tego przedmiotu jako laureat wojewódzkiej olimpiady. Zostały mi tylko dwa inne przedmioty do zdania, na takie oceny, które dałyby mi przepustkę do technikum.

Część pisemną z języka polskiego oraz fizyki zaliczyłem bez nerwów i problemów. Po kilku dniach przerwy rozpoczęły się egzaminy ustne. Zdawać miałem już tylko z „polaka”. Okazało się, że w tej samej, dużej sali lekcyjnej odbywały się jednocześnie „ustne” również z matematyki, przy tablicy szkolnej. Natomiast ustny z „polskiego” odbywał się w ostatniej ławce, pod tylną ścianą sali. Każdy kandydat zdawał oddzielnie, pojedynczo przy egzaminującym nauczycielu.

– Zdzisław Bowski, język polski! – zostałem wywołany z nazwiska i wszedłem do środka. Przy tablicy pocił się już przyszczaty młokos, nie wiem, z upału czy emocji. Chyba jednak z emocji, gdyż akurat ścierał to, co napisał... rękawem własnej marynarki, a nie gąbką szkolną. To był jednak jego problem, ja miałem swój – zaliczyć ustny z polaka. Nie obawiałem się zbytnio, szybko to załatwię i od dzisiaj będę miał wolne. Matematykę przecież miałem już z góry zaliczoną na stopień najwyższy – bardzo dobry. O ocenach celujących nikt wtedy jeszcze nie słyszał.

Podszedłem do tylnej ławki, uśmiechnąłem się do siedzącej tam egzaminatorki. Była to wysoka, kostyczna postać, niechybnie kobieta, chociaż esteci damskich wdzięków nie oceniliby jej wysoko. Nie przyszedłem jednak na dyskotekę i nie jej wiek mnie w tym momencie interesował.

Nauczycielka spojrzała na mnie znad okularów, niezbyt zachęcająco, delikatnie rzecz nazywając. Wyraźnie nie była nastrojona optymistycznie mimo pięknego, letniego dnia. Może ząb ją bolał, a może moi poprzednicy nie odpowiadali po jej myśli. Nie było to miłe przywitanie; nie słyszała o uśmiechu, którym wchodzącego gościa powinien witać gospodarz? Chociażby gość był tylko kandydatem na ucznia? Ale co tam, popyta, odpowiem i wyjdę zadowolony. Jej nastrój to jej prywatna sprawa, ja mam tylko zrobić swoje.

Usiadłem w ławce naprzeciw mojej egzaminatorki. Spojrzała na mnie przeciągle. Widocznie próbowała ocenić, czy warto mnie dłużej popytać, czy też szybko spławić jako chłopczyka, który wyraźnie zbyt wysoko mierzy jak na swoje intelektualne możliwości.

Długo się jednak nie zastanawiała i zaczęła pytać z lektur szkolnych. Tego się nie obawiałem. Jedno, drugie, potem zadane trzecie pytanie nie sprawiły mi problemów. Zrezygnowała z kolejnych, dotyczących znajomości wymaganych przez program książek. Podała mi kartkę papieru oraz długopis i poleciła:

- Podyktuję ci tekst. Będziesz go zapisywał.
- Dobrze, pani profesor.
- Pisz więc...

Zacząłem przelewać na papier jej dyktando. Już po chwili zorientowałem się, że tekst jest tak zbudowany, aby sprawdzić znajomość ortografii; wiele wyrazów było pułapkami, wyjątkami od zasad pisowni. Nie obawiałem się tej części egzaminu. Nie miałem problemów z prawidłowym ich zapisaniem, najwyżej zrobię jeden lub dwa błędy, nie więcej.

Kostyczka skończyła dyktować, kiedy większość kartki pokryłem już pismem. Wzięła ją ode mnie i zaczęła czytać, wodząc po liniijkach czerwonym długopisem. Obserwowałem uważnie – długopis dojechał do końca tekstu, ani razu się nie zatrzymując. Mimo wszystko odetchnąłem w duchu; każdy człowiek jest przecież omylny. Uff, nie znalazła błędu.

Lekko skrzywiła usta. Co jest, zamiast pochwalić, nie podoba się jej? Czym podpadłem? Dobrze wyczułem już przy wejściu, że jest nie w sosie. Ale to jej praca, a ja też nie przyszedłem w prywatną gościnę. Właściwie po co sobie głowę truję? Wszystko odpowiedziałem z lektur, błędów w dyktandzie też nie zrobiłem. Niech mi wreszcie profesorka wstawi piątkę z ustnego i będę mógł się cieszyć z przyjęcia do technikum. Nareszcie będę miał wolne, przede mną wakacje!

Zaskoczyła mnie. Już byłem rozluźniony, kiedy zadała mi kolejne pytanie:

– Noo, nawet dobrze, bez błędów. To powiedz mi jeszcze, kochanieńki, kiedy piszemy „ż” z kropką, a kiedy „erzet” i dlaczego.

Ale zołza! Niby to teraz jestem „kochanieńki”, ale szukała i szukała, aż znalazła wreszcie mój słaby punkt. Trafiony jestem, zatopiony! Po co jej to, sekutnicy?! Przecież napisałem tekst bez błędów, na cholerę pyta jeszcze z regulek?! Tego się nie spodziewałem. Skąd mam wiedzieć, kiedy pisze się tak czy owak?! Na ten temat nic nie wiem, żadnych zasad nie znam. Nie wiem, gdyż nigdy nie potrzebowałem ich znać. Zawsze pisałem „na oko” i bez zastanawiania się, w zupełności to mi wystarczało. Bardzo rzadko robiłem ortograficzne błędy, to po co miałem zakuwać jakieś regułki, do niczego nieprzydatne?! W podstawówce nauczycielka od polskiego nie męczyła mnie z nich, wystarczało jej, że pisałem poprawnie. Do tego w mojej klasie w poprzedniej szkole było kilka osób, które zasady pisowni wykuwały na pamięć, ale w dyktandzie i tak robiły mnóstwo błędów. To było wzorcowym przykładem, że teoria często rozmija się z praktyką. Woląłem być w grupie dobrych „praktyków” niż zakuwających „teoretyków”, którzy piątki dostawali ze znajomości reguł ortograficznych, a pały z dyktanda.

Nie byłem już jednak w swojej starej budzie szkolnej, siedziałem przed obcą nauczycielką, do tego wyraźnie niezbyt mi przychylną. I co mam jej odpowiedzieć? Ani w ząb nie znam regulek. Z lektur mnie nie zagięła, dyktando też poszło bardzo dobrze... to czemu jeszcze mnie pyta? Jak tu wybrnąć?

Zacząłem ostrożnie, starając się zachowywać tak, jak powinien grzeczny uczeń wobec nauczyciela:

– Pani profesor, te zasady to tylko teoria. Ważniejsze, czy stosuje się je w praktyce, prawda? To dopiero świadczy o znajomości ortografii...

Jakbym wsadził kij w mrowisko! Oczy od razu jej się zaświeciły jak u wilka w nocy, który wywąchał świeży trop zwierzyny do upolowania. Wyraźnie się ożywiła. Zołza, prawdziwa zołza! Wyczuła, że znalazła to moje słabe miejsce. Ale z niej ziółko, dlaczego się tak uparła? Co chce mi udowodnić? Że nie nadaję się do technikum? Mało jej poprawnych odpowiedzi?

– Co ty mi, chłopcze, mówisz? Coś powiedział? Że nie trzeba znać reguł pisowni? Wiedz, że kto nie zna zasad, nie może poprawnie pisać... – zawiesiła głos i zdecydowanie dokończyła – nie może, i już!

– Zgadzam się prawie całkowicie, pani profesor, z zasady trzeba znać zasady. Ale żeby zasada była regułą, to musi być wyjątek od niej. Nawet w ortografii są wyjątki...

Nie dała mi dokończyć. Tak ją podnieciła moja odpowiedź, że aż uniosła się z krzesła. Oparła się rękoma o ławkę i z bliska wysyczała mi w twarz:

– Ty chcesz mnie pouczać, co trzeba znać, a co nie? Tyy?!

Że też wcześniej nie ugryzłem się w język! Musiałem wspomnieć o tych wyjątkach?!

– Nie, pani profesor, ale...

– Żadne ale. Powtarzam pytanie. Wiesz, kiedy pisze się zet z kropką, a kiedy er-zet? Wiesz, czy nie wiesz?

– No właśnie, jakby to powiedzieć...

– A więc nie wiesz – przerwała mi z ledwie skrywaną satysfakcją. – I ty starasz się do średniej szkoły? Z takimi brakami z podstawowej?

– Pani profesor, ale przecież przed chwilą napisałem dyktando bez błędów. Nawet mnie pani pochwaliła. Może zamiast regułek podyktuje mi pani jeszcze jedno.

Musiałem jeszcze wspomnieć o tym, że przed chwilą dyktando wypadło bardzo dobrze?! Przez to jakbym drugi raz wsadził ten kij w mrowisko i jeszcze nim poruszał. Ale właściwie... dlaczego nie? Nie mam powodu wstydzić się, a o swoje muszę walczyć.

Polonistka spurpurowiała, ale po chwili opanowała się i, już na zimno, prawie że wyrecytowała:

– Ty się uważasz za ten wyjątek? Więc posłuchaj mnie uważnie, chłopcze. Ktoś, kto nie zna zasad ortografii, nie może pisać poprawnie. Po prostu nie może. Wyjątki są tylko w ortografii i też trzeba je znać. Udało ci się napisać dyktando, ale to nic nie znaczy. Po prostu ci się udało. Nie będę już nic dyktować. Nie znasz regułek, więc nie zaliczyłeś z polskiego. To wszystko.

Koniec z moimi marzeniami o technikum. Ugotowała mnie. Mimo że już wyrosłem z wieku dziecięcego, trochę zaszkliły mi się oczy. Tak dobrze poszły egzaminy pisemne, początek ustnego z polskiego też bez problemu zaliczyłem. Tylko te głupie regułki, których się nie nauczyłem. Przez taką zołzę nie zostanę uczniem technikum. Przez głupie regułki, które do niczego nie są mi potrzebne, zwłaszcza w nauce elektryki. Przecież nie zdaję do ogólniaka. Zostanie mi szkoła zasadnicza, tam przyjmują bez egzaminów...

Podniosłem się z krzesła i bez słowa skierowałem do wyjścia. Chwyciłem za klamkę drzwi i w tym momencie usłyszałem z tyłu głos polonistki:

– Wróć!

Czyżby? Naprawdę chce dać mi jeszcze szansę?! O matko... Wróciłem.

– Dlaczego wychodzisz? A ustny z matematyki? Nie zdałeś, ale to nie znaczy, że nie masz zdawać z innych przedmiotów. Profesor Ustaszewski uczy tego przedmiotu również w zawodówce. Może będziesz jego uczniem, więc chociaż z matematyki pokaż, że coś umiesz.

Tego było dla mnie za wiele. Dotąd tłumiliem wszystko w sobie, ale już nie zdzierzyłem. Myślałem, że kostyczka daje mi jeszcze szansę, że ruszyło ją zawodowe sumienie, a tu... po prostu chciała jeszcze raz zaznaczyć, kto tu rządzi. Wszystkie zawiedzione nadzieje znalazły nagle ujście w moim wybuchu:

– Nie muszę! Nie muszę zdawać, bo mam już z olimpiady zaliczoną! W matematyce ważne, czy ktoś umie rozwiązywać zadania, a nie pyta z pustych formułek! Umie rozwiązać, to znaczy, że je zna, a nie odwrotnie!

Ośłupiała. Nie czekałem, aż ochłonie, tylko odwróciłem się na pięcie i szybko wyszedłem z sali. W przełocie zobaczyłem jeszcze zaskoczenie widoczne na twarzy korpulentnego matematyka, który odwrócił się w moją stronę. Trzasnąłem drzwiami. A co tam! Przynajmniej powiedziałem żolzie, co o niej myślę! I tak mam z głowy technikum. Ogłoszą wyniki egzaminów, to złożę ponownie papiery, tym razem do zawodówki.

Ledwie wyszedłem ze szkoły, a emocje ustąpiły rozżaleniu. Z powodu głupich regułek z polskiego nie przyjmą mnie do technikum. Przecież chciałem zostać elektrykiem, a nie polonistą. Do tego zawodu znajomość matematyki i fizyki jest przede wszystkim potrzebna, a nie wykucie na blachę zasad ortografii. Co ma piernik do wiatraka?! I przez taką żołą będę tumanem w rodzinie...

Powlokłem się do domu. Nie musiałem nic mówić. Mama ledwie spojrzała i już się domyśliła. Przytuliła mnie i cicho powiedziała:

– Pouczysz się w zawodówce, a za rok jeszcze raz spróbujesz. A jak bardzo dobrze będziesz się uczył, to może po półroczu przeniosą cię w nagrodę do technikum. Czasem tak robią.

Ulżyło mi, o tym nie wiedziałem. Może nie wszystko stracone?

Przestałem się dalej zamartwiać. Przecież trwały już upalne wakacje. Do września mogłem nie zajmować się nauką.

* * *

Po tygodniu w szkole wywieszono wyniki egzaminów i listy przyjętych do technikum. Nie poszedłem sprawdzić. Po co mam znowu rozgrzebywać ledwie zasklepioną ranę? Pójdę jutro i przeniosę swoje papiery do zasadniczej zawodówki...

Pakowałem już rzeczy do wyjścia nad jezioro, kiedy wróciła mama z zakupów. Od razu zaglądnęła do mojego pokoju, dziwnie radosna:

– Zdzisiu, zdałeś! Jesteś przyjęty!

Mało mi plażowa torba nie wypadła z ręki.

– Jak to?! Przecież z polskiego ta żołą wstawiła mi pałę! Sama mi to powiedziała!

– Jesteś przyjęty! Wracalam już ze sklepu, ale coś mnie tknęło i poszłam jednak do szkoły. Czytam i patrzę – jesteś na liście przyjętych! Z polskiego masz wpisana czwórke!

– Czwórke?! Z ustnego?!

– Nie pamiętam, widziałam tylko, że z polskiego cztery i że jesteś przyjęty. O, jak się cieszę.

A jak ja się uradowałem! Poczułem się jak człowiek, któremu w ostatnim momencie przed powieszeniem darowano karę. Jednak żołą nie położyła mnie, mimo że na egzaminie porządnie jej wygarnąłem. Wtedy należało jej się. Nie była jednak aż tak wredna, jak myślałem. Zdałem, zdałem!

Rzuciłem torbę w róg pokoju i pobiegłem do szkoły. Wiedziałem, że mama nie zażartowałaby w takiej sprawie, ale chciałem przekonać się na własne oczy, zobaczyć swoje nazwisko na liście przyjętych. W holu na pierwszym piętrze przecisnąłem się przez tłum innych zainteresowanych wynikami egzaminów i szybko odszukałem gablotę z wywieszonymi listami. Przeleciałem wzrokiem po spisie... jestem. Jestem!

Jestem!!! Zostałem przyjęty!

Żadne złe myśli ani zdarzenia nie przeszkadzały mi już w spędzaniu kolejnych, upalnych wakacji tak, jak lubiłem.

* * *

W dniu pierwszego września poszedłem do technikum na rozpoczęcie roku szkolnego. Odetchnąłem, kiedy okazało się, że języka polskiego będzie mnie uczyła inna nauczycielka i jednocześnie wychowawczyni, Maria Malinowska, pieszczotliwie przez uczniów Patelnią nazywana.

Okazała się dobrą profesorką. Natomiast zołza, poznana na egzaminie wstępnym w tak przykrych dla mnie okolicznościach, nie pojawiła się w mojej klasie przez cały okres pięcioletniej nauki w technikum; nawet nie była na zastępstwie. Spotykałem ją na korytarzu szkolnym, ale wtedy tylko oficjalnie, sztywno mówiłem: – Dzień dobry – i nic więcej. W podobnym tonie i ona mi odpowiadała. Przebywaliśmy przez pięć lat w tej samej przestrzeni szkolnej, ale nie istnieliśmy dla siebie. Z opowiadań kolegów z innych klas, których uczyła, naprawdę zasługiwała na opinię dość oschłej i niezbyt lubianej nauczycielki.

* * *

Minął czas...

Po kilkunastu latach spotkałem jednego z byłych nauczycieli, wówczas uczących w technikum. Wspomnieliśmy stare czasy, dla mnie uczniowskie, a dla niego nauczycielskie. Napomknąłem o moim, tak pamiętnym egzaminie wstępnym. Okazało się, że też pamiętał dość burzliwą radę pedagogiczną, gdzie sprawa mojego przyjęcia lub nieprzyjęcia była omawiana. Rozpoczął dyskusję matematyk, profesor Ustaszewski, który miał u uczniów, chyba ze względu na swoją korpulentną sylwetkę, ksywkę „Miś”. On właśnie był mimowolnym świadkiem mojego egzaminu z języka polskiego. Widocznie zanotował wtedy moje nazwisko i wstawił się za mną na tej radzie, zatwierdzającej listy przyjętych. Kiedy inni nauczyciele zapoznali się z moimi wynikami egzaminów pisemnych oraz dowiedzieli się, że zwolniony byłem z egzaminów z matematyki, też byli za przyjęciem mnie do technikum. Jedyne egzaminująca polonistka była zdecydowanie przeciwna. Dopiero kiedy dyrektor zawniósł, aby zrobić mi komisyjny egzamin ustny z polskiego, zrezygnowała. Zastrzegła jedynie, że nie chce mnie uczyć. I tak się stało. Na szczęście była niechlubnym wyjątkiem wśród większości dobrych i bardzo dobrych nauczycieli w szkole. Przynajmniej dla mnie. Sama sobą zaświadczyła, że „wyjątek potwierdza regułę”.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Zdzisław, dodano 17.10.2019 15:07

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.